

Władysław FABIJĄSKI
Wrocław

Odpowiedź na recenzję dra Marcina Hlebionka z Instytutu Historii i Archiwistyki Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu zatytułowaną: „Uwagi krytyczne na marginesie pracy Władysława Fabijańskiego, *Pieczenie papierowe z podkładem w zbiorze sfragistycznym Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2009, ss. 154, il. 147*”*

Odpowiadając na recenzję Marcina Hlebionka z mojego katalogu pieczęci papierowych przechowywanych w Bibliotece Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu muszę już na wstępie zaznaczyć, że chociaż jej początek zapowiada się dosyć przejrzyście, to jednak nie można tego powiedzieć już o dalszej jej treści. Po miłym wstępie podkreślającym konieczność wydawania publikacji źródłowych i po początku pochwalającym wydanie mojej publikacji, autor recenzji zastrzega, że jednak „katalog ów rozczarowuje, jeżeli będziemy doszukiwali się w nim namiastki edycji źródłowej”. Czytając jednak dalsze jej fragmenty odnoszę wrażenie, że autor recenzji w przewrotny sposób sugeruje czytelnikowi zniekształcone formy moich twierdzeń i poglądów. Na ogół powszechnie wiadomo, że umiejętne czytanie zdania nie powinno budzić wątpliwości u czytelnika w rozumieniu jego treści, tym bardziej jeśli czyta poprawny tekst dotyczący tych samych zagadnień, którymi autor i recenzent się zajmują. Recenzent ma m. in. trudności w odniesieniu do uściślenia nazewnictwa, które stosowane przez lata (co sam zaznacza wspominając dawną literaturę sfragistyczną), nie pogłębiane dalszymi badaniami i przemyśleniami, starzeje się. M. Hlebionek przyzwyczajony do dawnej, utartej już terminologii, jest zaskoczony, że można ją uściślać. Dziwi Recenzenta, że pieczęcie mogą być nazwane papierowymi (te tradycyjnie odcisnięte na podkładzie najczęściej woskowym), a nie (jak się M. Hlebionek przyzwyczaił) odcisnięte przez papier.

Chcąc podkreślić bardzo wiele rzekomych mankamentów stara się deformować tok moich stwierdzeń stosując pokrętnie rozumienie użytych przeze mnie zdań, które — jak sądzę — są napisane zrozumiale. Zacytuję więc te miejsca tekstu, w których wypowiadam się na temat definicji pieczęci papierowej z podkładem.

Pierwsza wypowiedź ze s. 10 mojego katalogu brzmi: „Pieczęć papierowa z podkładem to przede wszystkim dawny odcisk tłoka pieczętnego w papierze, który nakładano na świeżo wylany (tuż pod tekstem dokumentu) wosk.” Następna, bardziej obrazująca techniczny aspekt jej wykonania, zawarta w przypisie 23 na s. 24 dla porównania jej z przygotowywanymi pieczęciami woskowymi sformułowana jest następująco: „... dla pieczęci papierowej przygotowywano wycinek papieru (o jakimkolwiek

* St. Źródł. nr 49, 2011, s. 165–177.

kształcie), który nakładano na (wylany w odpowiednim miejscu pod tekstem dokumentu) gorący воск, a następnie na tak przygotowanym podłożu odciskano tłok pieczętny, który można było łatwo od niego odjąć, w przeciwieństwie do pieczęci woskowej, przy której nieraz był z tym kłopot.”

M. Hlebionek stara się natomiast wyjaśniać czytelnikom te zdania i narzucić tok rozumowania w przeciwny sposób. Pisze, iż moim zdaniem pieczęć papierowa z podkładem to taka pieczęć, którą najpierw odciska się w jakimś papierze, a następnie ów „odcisk suchy łączony” [byłby] „później w jakiś sposób z dokumentem (przy czym ów podkład klejowy, woskowy czy inny miałby jedynie funkcje mocujące i nie pozostałby na nim ślad stempla)...”. Recenzent stara się tutaj podkreślać rolę kleju, który rzekomo mam na myśli, bowiem wymieniłem (przy odciskaniu pieczęci papierowej), że poza woskiem stosowane były — zresztą niezwykle rzadko — inne podkłady. Głównym podkładem pieczęci papierowej, o czym piszę w katalogu, był воск, czego dowodzą przedstawione przeze mnie opisy pieczęci.

Sądzę, że Recenzent nie pracował w archiwach przy dokumentach i pieczęciach jak piszący te słowa i zapewne nie próbował praktycznie robić odcisków pieczęci dawnymi metodami i oryginalnymi tłokami pieczętnymi, by móc praktycznie stwierdzić fakt, że gorący воск i lak mają bardzo łatwą przyczepność do stosowanego w dawnych wiekach papieru porowatego. Tę łatwą przyczepność mają one także do innych materiałów, m. in. do metalu (tłoków), w związku z czym niezwykle ważną sztuką było bezpośrednie odcisnięcie tłoka w wosku, co jednak nie zawsze kończyło się oczekiwanym efektem. Już ten fakt świadczy jak ważnym przełomem w kancelarii było zastosowanie pieczęci papierowej na podkładzie woskowym, bowiem tłok pieczętny można było odcisnąć bez obawy przywarcia go do wosku. Jedynym mankamentem, przy nieumiejętnym odciskaniu pieczęci papierowej z podkładem woskowym, było nadmierne przesiąkanie wosku na powierzchnię papieru pieczętnego, co zaciemniało później wizerunek pieczęci i psuło jej estetykę.

Podobne krytyczne stosowane przez Recenzenta rozumowania mógłbym przedstawić odnośnie do używanego przez niego nazewnictwa. Uważa On bowiem, że w stosunku do pieczęci papierowej z podkładem należy stosować przestarzałą moim zdaniem i nieodpowiadającą technologii wykonania, definicję — „pieczęć odcisnięta przez papier”. Z całą świadomością, wiedząc o jaką pieczęć chodzi, mógłbym zasugerować podobnie, jak M. Hlebionek, że jest to taka pieczęć, którą odciskamy przez papier w wosku, a następnie papier ten zdejmujemy i odrzucamy jako niepotrzebny.

Podobnym zabiegiem jest sugerowanie przez M. Hlebionka odnośnie do pieczęci papierowych z podkładem jakoby nie wiedział (mam „niezbyt dobrą orientację”), że stosowano je także do zamykania korespondencji i z sumienną dokładnością (podpierając się też literaturą obcą) wyjaśnia, jak taki proces wyglądał.

Oczywiście zgadzam się z uzupełniającym wyjaśnieniem Recenzenta, ale pieczęci używano przecież głównie do uwierzytelniania dokumentów, a że w różnych przypadkach używano pieczęci także do innych celów zabezpieczających, jak np. do plombowania czy innych czynności, to jeszcze nie świadczy, że moje twierdzenie o większej mobilności kancelarii w przygotowywaniu dokumentów, dzięki zastosowaniu pieczęci papierowej z podkładem woskowym, jest błędne. To, że zamykając także korespondencję (a nie zawsze dokumenty) pieczęcią papierową z podkładem woskowym sekretarz kancelarii stracił więcej czasu, bo musiał dodatkowo przeciągnąć przez gorący воск i papier listowy paski mocujące (z papieru lub pergaminu), ogólnie rzecz biorąc nie świadczy o większej czasochłonności w przygotowywaniu dokumentów w porównaniu z przygotowywaniem dokumentu pergaminowego pieczętowanego o wiele bardziej pracochłonną pieczęcią woskową zawieszoną na pasku pergaminowym lub sznurze. Razem ze śp. prof. Marianem Haisigiem podejmowaliśmy próby opieczętowania dokumentu tymi dwoma rodzajami pieczęci (woskową na pasku lub sznurze i papierową z podkładem woskowym) i porównywaliśmy czas ich wykonania. Bez wątplenia opieczętowanie dokumentu pieczęcią papierową z podkładem woskowym trwało krócej. Ponadto mając dużą praktykę w reperacji pieczęci z dużymi destrukcjami i spektakularne efekty tych prac, nie powiedziałbym, że pieczęć woskowa jest mniej pracochłonna i łatwiejsza też do naprawy.

M. Hlebionek sugeruje także, jakobym nie wiedział, iż prócz dokumentów uroczystych pieczęciami woskowymi pieczętowano także zwykle dokumenty. Musi mi jednak przyznać rację, że bardzo uroczyste i ważne dokumenty pieczętowane były pieczęciami woskowymi nawet w początkowych latach XX w. Zgadzam się jedynie z Recenzentem, że pieczęć papierowa z podkładem woskowym była na pewno tańsza od dawniejszej zawieszanej pieczęci woskowej odciskanej w misce lub puszcze. Priorytetem, mimo wszystko, było jej łatwiejsze odciskanie i tutaj Recenzent musi zgodzić się, że właśnie ten fakt spowodował jej dominację m. in. w staropolskiej kancelarii.

Jeszcze jednym ważnym problemem, który muszę koniecznie wyjaśnić, jest twierdzenie Recenzenta, że właściwym odciskiem pieczęci papierowej z podkładem (np. woskowym) jest właśnie ten podkład, który znajduje się pod papierem pieczętnym, z wizerunkiem odcisniętym z tłoka, który właśnie po zerwaniu papieru pieczętnego jest właściwą pieczęcią. M. Hlebionek zapomina, a może po prostu nie wie, że właśnie dokument uwierzytelniony pieczęcią papierową z podkładem unieważniano m. in. właśnie w ten sposób, że zrywano papier pieczętny z odciskiem wizerunku pieczęci. Pracując przez prawie dwie dekady w Archiwum Państwowym we Wrocławiu, największym w Polsce, jeśli chodzi o zbiory sfragistyczne, mogę stwierdzić, że niejednokrotnie trafiałem na dokumenty uwierzytelniane wieloma pieczęciami papierowymi z podkładem, które unieważniono poprzez zerwanie z nich papierów pieczętnych z wizerunkami odcisniętych tłoków (choć pozostały kruszące się podkłady z resztkami papieru pieczętnego). Dodatkowo papier z tekstem dokumentu był albo poprzecinany (np. w jodełkę) albo poprzekreślany kilkakrotnie, zwykle na ukos. Z moich obserwacji wynika, że do unieważnienia pieczęci nie było konieczne zniszczenie podkładu woskowego, który nie miał bezpośrednio znaczenia prawnego.

Dodam jeszcze, że za faktem uznania (przy pieczęci papierowej z podkładem) jej wierzchniej części (papieru pieczętnego z odcisniętym wizerunkiem tłoka pieczętnego) za najważniejszą prawnie jej część jako znaku uwierzytelniającego, przemawiają fakty wykonywania takich odcisków na podkładzie z laku czy innych podkładach, które po zerwaniu papieru pieczętnego w zasadzie nie pozostawiałyby wyraźnych wyobrażeń napieczętnych.

Cytowanie za znanym sfragistyką prof. Stefanem K. Kuczyńskim, który posłużył się określeniem „custodium”, użytym w dawnym dokumencie podobno w stosunku do pieczęci papierowej z podkładem, nie świadczy jeszcze o tym, że określenie to dotyczy ochrony podkładu pieczęci papierowej. „Custodium” to — moim zdaniem — określenie całej pieczęci jako środka prawnego zabezpieczającego przede wszystkim tekst dokumentu, „custodium” tłumaczy się jako „straż”, ale też i jako „ochrona”. Takie tłumaczenie jest bardziej logiczne i nie ulega wątpliwości, że wielu dyplomatyków poprze mnie w tym względzie. Pieczęć zawsze chroniła i chroni prawnie treść dokumentu, a nie samą siebie.

Uznając, że skoro pieczęć odcisniętą w wosku określa się „pieczęcią woskową”, pieczęć odcisniętą w laku „pieczęcią lakową”, pieczęć wytłoczoną na sucho w papierze — „pieczęcią papierową suchą” lub „pieczęcią papierową tłoczoną na sucho”, pieczęć odcisniętą tuszem — „pieczęcią tuszową”, to analogicznie pieczęć odcisniętą w papierze z (jakimkolwiek) podkładem należy określić — „pieczęcią papierową z podkładem”. Pragnąc użyć w tytule mojej publikacji już wcześniej przeze mnie ustalonego określenia „pieczęć papierowa z podkładem” konsultowałem je wcześniej z wieloma znanymi naukowcami, w tym z prof. Z. Piechem, śp. prof. S. K. Kuczyńskim, a także recenzentami mojej pracy, prof. M. Górnym i prof. R. Żerelikiem.

W dalszej części swojej recenzji M. Hlebionek sugeruje moje rzekomo nieszczęśliwie używane przeze mnie w katalogu określenia rzeczywistego „właściciela pieczęci” i „właściciela kolekcjonera” tychże pieczęci. Tymczasem M. Hlebionek stosuje określenie „dysponent pieczęci”, które podobnie można zastosować i do rzeczywistego tzw. „dysponenta pieczęci” i do kolekcjonera „dysponenta pieczęci”. Ponadto sądzę, że określenie „właściciel pieczęci” jest bardziej normatywne w porównaniu z określeniem „dysponent pieczęci”. Dysponentem pieczęci można bowiem określić także złodzieja pieczęci, który mógł używać jej nielegalnie. Termin „właściciel pieczęci” jest określeniem prawnym,

podobnie jak czynnością prawną jest samo pieczętowanie dokumentu i w tym jest cała istota tego nazewnictwa.

Sugerowanie przez recenzenta łączenia niektórych wyodrębnionych przeze mnie grup uważam za zbędne, ponieważ zastosowany przez mnie układ jest bardziej przejrzysty. M. Hlebionek dziwi się (s. 167), że wiele pieczęci określam jako „kancelaryjne” i zastanawia się co, pod tym pojęciem należy rozumieć. Moim zdaniem, jak i szeregu badaczy, jest to pieczęć oficjalna używana powszechnie przez kancelarie wystawców dokumentów. Wydaje mi się, że mam jednak prawo do klasyfikowania pieczęci opierając się przede wszystkim na wieloletnim doświadczeniu archiwalnym, które, jak uważam, zawsze jest jedną z najważniejszych kwalifikacji u historyka dawnych wieków. Kancelarie dawne (a nawet dzisiejsze) zawsze miały i mają pewien zestaw pieczęci stosowanych do uwierzytelniania dokumentów o różnej sferze ważności, ale też i do innych zastosowań w kancelariach. Zdarzało się czasami, że niektóre ich rodzaje były nadużywane do nieadekwatnego uwierzytelniania dokumentu wystawionego. Określając więc poszczególne pieczęcie jako „kancelaryjne” miałem na uwadze ich zastosowanie w prawdopodobnej grupie ogólnego zestawu kancelaryjnego pieczęci. Ten fakt takiego ich określania nie jest więc nadużyciem.

Podawanie przez M. Hlebionka przykładu pieczęci konwentów zakonnych o skomplikowanym systemie sfragistycznym nie ujmuje nic określaniu także ich, jako kancelaryjnych, bo w końcu używane były w jakiejś kancelarii. Konwenty zakonne, za którymi upomina się Recenzent, też przecież miały swoje kancelarie, które sporządzały pieczętowane dokumenty i ganioną przez M. Hlebionka moją kwalifikacją niczego nie zaciemniam i nie nadużywam tego terminu. Podawane przez Recenzenta czynniki w konwentach zakonnych, jak sam pisze, chociaż nie wyjaśnia, „były skomplikowane”.

I chociaż na ogół systemy kancelaryjne były unormowane, mimo to czasami jednak zdarzały się rozmaite odstępstwa i aby zaklasyfikować oficjalnie pieczęć do jakiejś grupy systemu kancelaryjnego trzeba koniecznie zwracać uwagę także na formułę sygillacyjną, która czasami doprecyzowywała określenie rodzaju użytej pieczęci, bowiem zastosowany tłok nie zawsze kwalifikował się do takiej roli, którą zalecało prawo kancelaryjne. Taki przypadek jest np. związany z jednym z dokumentów Joachima Fryderyka, księcia z legnicko-brzeskiej linii piastowskiej, wystawionym 12 września 1600 r. w Brzegu, na którym wystawca do uwierzytelnienia dokumentu dotyczącego zapisania swojej małżonce Annie Marii jako dożywocia zamku, miasta i okręgu w Oławie, użył pieczęci o wyraźnych cechach sygnetu osobistego, co wyraźnie zaznaczył w formule sygillacyjnej¹.

Duża różnorodność w kwalifikacji kancelaryjnych pieczęci spotykana jest też u panujących w Polsce Wettinów, którzy posiadali różnorodny system sygillacyjny ze względów ustrojowych, bo przecież prócz tego, że byli monarchami dualistycznego państwa polskiego to byli też książętami–elektorami saskimi. Opisując ich pieczęcie w swoim katalogu brałem pod uwagę kwalifikacje, jakimi były określane w formułach sygillacyjnych w licznych dokumentach.

Recenzent jednak sam ma trudności w odniesieniu do sfragistycznej terminologii, bowiem nie potrafi rozróżnić podstaw kwalifikacyjnych pieczęci w kancelariach królewskich, przede wszystkim nie rozróżnia rodzajów pieczęci od typów. Wiadomym jest od lat, że określenie rodzaju pieczęci wyróżnia je pod względem kwalifikacji ich ważności w hierarchii (stosowanej do odpowiedniej rangi dokumentów) głównie w kancelariach cesarskich, królewskich i książęcych, natomiast określanie typów pieczęci wiąże się z ich ikonografią i ta kwalifikacja jest szersza, ponieważ obejmuje nie tylko pieczęcie monarchów panujących.

Nie wiadomo, o co chodzi Recenzentowi w odniesieniu do pieczęci urzędników królewskich i ziemskich. Czy o to, że użyłem określenia „pieczęć urzędowa”, a nie „urzędnicza”? Uważam, że jest to przysłowiowe dzielenie włosa na czworo, według mnie użyłem sformułowania bardziej prawidłowego, bowiem zawiera się w tym określeniu i jej właściciel urzędnik i sam urząd jako instytucja. Natomiast określenie proponowane tutaj przez M. Hlebionka, by nazywać je pieczęciami „urzęd-

¹ AP we Wrocławiu, Rep. 3, sygn. 156 (dawna 137).

niczymi”, uważam za zbyt daleko idące, nieprecyzyjne i zbyt uwspółcześnione. Wiadomo, że król, książę, czy magnat nie nosił tych zbyt ciężkich tłoków w kieszeni, ale na ogół powierzał opiekę nad nimi najbliższemu zaufanym współpracownikom, nie zawsze kancelaryjnym, na co są liczne dowody. Oczywiście tłokami pieczętnymi, pieczęciami urzędników królewskich i ziemskich, z pewnością dysponowali ich sekretarze, ale mimo wszystko właściciel odpowiadał za użycie swego imiennego tłoka. W tej sprawie M. Hlebionek nie napisał nic nowego.

Następna uwaga Recenzenta dotyczy wydzielenia grupy pieczęci władcyków ruskich, którą chce uznać za władcyków prawosławnych. Propozycja ta jest o tyle nieszczęśliwa, że pod terminem tym kryją się także biskupi unicy, a więc katolicy. Grupę tę wydzielono ze względu na podobną ikonografię i język legend pieczętnych.

Rację muszę przyznać M. Hlebionkowi, że ostatecznej uwadze uszło mi nieodpowiednie zaszeregowanie pieczęci z okresu zaborów, ale włączenie tej pieczęci papierowej do zbioru pieczęci polskich moim zdaniem nie jest błędem, ponieważ dotyczy urzędów powiatowych na terytorium Polski, jedynie zabrakło tutaj oddzielnego tytułu grupowego.

Nie zgadzam się z oceną Recenzenta pieczęci zakładu ogrodniczego Potockich w Krzeszowicach. Jego zdaniem jej „wartość informacyjna ...będzie jednak znikoma”. Podobne zdanie ma w stosunku do pieczęci nr 136–137, uważając nawet, że jeśli pieczęcie są masowe, to ich wartość jako źródła jest niższa. Recenzent jednak nie zwrócił uwagi np. na dodatkową informację pod opisem pieczęci nr 137, która jest odmianą bardzo podobnego *sigillum*.

Uwzględnienie pieczęci spoza granic Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego było celowym zabiegiem, ponieważ dla badań miejscowości i regionów znajdujących się w obecnych granicach Polski, a które niegdyś były poza jej granicami, są one cennym materiałem historycznym. Stąd też w pierwszej części mojej publikacji znalazła się też pieczęć z Prus Książęcych. Uznałem bowiem, że nie „lepiej by było” (jak radzi M. Hlebionek) ograniczać tego katalogu do Korony i Wielkiego Księstwa Litewskiego, ale brać pod uwagę także ziemie polskie w granicach obecnych.

Zarzut co do sformułowań językowych przy podawaniu niektórych nazw, jak np. dotyczącego miasta Krakowa z XVII w. — „Świętego Królewskiego Majestatu Miasto Kraków”, która dla Recenzenta jest niezręcznością językową, uważam za bezpodstawny, bowiem historycznie jest to właściwa dla ówczesnej epoki forma urzędowa nazwy Krakowa oddająca jej historyczną formę onomastyczną, co jest wskazane dla wydawnictwa źródłowego, jakim jest omawiany katalog. Umieszczona wśród pozostałych pieczęci Krakowa pokazuje przemiany tej nazwy w zależności od sytuacji polityczno-ustrojowych i kulturowych. Stąd też uznałem, że te niuanse należało podkreślić w nazwach konkretnych obiektów sfragistycznych

M. Hlebionek w swej recenzji próbuje dyskredytować mój sposób identyfikacji pieczęci według rodzajów i typów sugerując czytelnikowi, że opierają się one tylko i wyłącznie na legendzie. Twierdzi przy tym, że w ten sposób tworzę „nowe byty”. Są to, moim zdaniem, zbyt daleko idące sugestie Recenzenta co do mojego postępowania w tej kwestii. Nie przeczę, że w wielu przypadkach legenda jest najważniejszą podstawą do identyfikacji pieczęci i badacz sam może ocenić jakie elementy danej pieczęci mogą mu być w tym pomocne. Chodzi przecież o ich zakres kompetencji prawnych, które od średniowiecza w polskich kancelariach królewskich, książęcych itp. były dosyć wyraźne. W razie braku wyraźnych przesłanek w formule sygillacyjnej lub legendzie, i opierając się na moim archiwalnym doświadczeniu, używam w tym polu opisowym adekwatnych dla tego miejsca określeń np.: pieczęć urzędowa, kancelaryjna, gabinetowa.

W przypadku pieczęci kancelarii właścicieli, czy instytucji niższych, także kancelarii nowożytnych, określenia rodzajów pieczęci bywają różnorodne zależne od funkcji jakie stanowią, a więc mogą to być określenia np.: pieczęć powiatowa, ziemska, wójta, ławy, cechowa, gromadzka, dominium, zakładu itp. Natomiast M. Hlebionek wspominając pole opisu dotyczące typu pieczęci „domyślił” się, że w polu tym określam pieczęć pod kątem jej ikonografii a więc np.: pieczęć herbowa, hagiograficzna, itd.

Uważam, że M. Hlebionek mylnie ocenia fakt, iż taki podział na powyższe rodzaje i dookreślające je typy pieczęci stanowi powtórzenie informacji z poprzedniego pola opisowego. Wnoszę z tego, że nie potrafi On rozróżnić i oddzielić kompetencji prawnych pieczęci od określeń ich typów. Jak niejasno widzi Recenzent te podziały dowodzi jego pytanie ze s. 168, gdzie pisze, że pieczęcie kancelaryjne muszą być pieczęciami urzędowymi. Jak wiemy np. prywatna pieczęć sygnetowa, czy prywatna gabinetowa, przecież nie są pieczęciami urzędowymi, a stanowią sfragistyczny system kancelaryjny.

Należy ponadto wyjaśnić i rozwiać kilka „wątpliwości” wyrażonych przez M. Hlebionka na s. 167 i 169 recenzji dotyczących niektórych określeń pieczęci z polskich kancelarii królewskich, a które „wzbudza” moja „charakterystyka pieczęci królewskich”. Po pierwsze nieprawdą jest, że królewskie pieczęcie sekretne określam jako „typy” i „podtypy”, ponieważ jest to jeden z „rodzajów” pieczęci kancelaryjnych monarchów polskich. Ponadto w moim artykule w publikacji „Zbiory pieczęci w Polsce”², przywołanym przez M. Hlebionka, na s. 178 nie ma określenia „podtyp pieczęci kancelaryjnej” zastosowanego w stosunku do pieczęci sekretnej, co próbuje mi wmówić Recenzent.

Po drugie, jeśli chodzi o pieczęcie „gabinetowe” (s. 169) wnioskuję, że nie aprobeuje On określenia M. Gumowskiego „pieczęć gabinetowa”. Warto w tym miejscu odnieść się także do określanych w formułach sygillacyjnych (głównie w dokumentach nowożytnych kancelarii polskich monarchów) tzw. „pieczęci pokojowych”, które wielu badaczy próbuje rozumieć nieadekwatnie w stosunku do zestawu rodzajów pieczęci stosowanych w polskich kancelariach królewskich, a nawet stosuje nieodpowiedzialnie takie nazwy do określania luźnych odcisków pieczęci królewskich³.

Moim zdaniem pieczęć tak określana w formułach sygillacyjnych dokumentów oznacza „pieczęć gabinetową”, osobistą monarchy, którą miał tylko i wyłącznie dla swego użytku, a która miała moc prawną oficjalnych pieczęci kancelaryjnych. Pieczęć taką monarcha przechowywał w swoim prywatnym gabinecie zwanym „pokojem królewskim” w odróżnieniu od innych oficjalnych pomieszczeń pałacu czy zamku. Oczywiście osobnym typem pieczęci gabinetowych były też pieczęcie do zamykania prywatnej korespondencji monarchów, były one jednak na ogół małe, odciskane w laku, i na ogół bez legendy, czyli bez intytulacji urzędowej, jedynie mogły mieć same inicjały. W wypadku osób panujących pieczęć „gabinetowa” miała gestię i charakter bardziej prywatny, bo chociaż była to wprawdzie jedna z (np. królewskich) oficjalnych pieczęci urzędowych, ale była w jego osobistej gestii, natomiast osobista pieczęć gabinetowa o charakterze bardziej poufnym służyła przede wszystkim do zamykania jego osobistych listów. Tak więc, moim zdaniem, wspomniany pierwszy wariant pieczęci gabinetowej (tzw. pokojowej) mógłby rzeczywiście znajdować się w ramach królewskiego systemu sfragistycznego pomiędzy pieczęcią wielką a sygnetową będąc równoważną pieczęcią sekretnej, natomiast wspomniany drugi wariant pieczęci gabinetowej, służący do zamykania listów, usytuowałbym jako równoważny pieczęcią sygnetowej, ale mimo wszystko stojący za nią. Tutaj też nie zgodzę się z twierdzeniem M. Hlebionka, że określenie pieczęć gabinetowa w odniesieniu do innych ich właścicieli niż monarchowie „jest raczej niewłaściwa”. Moim zdaniem może byłaby niewłaściwa tylko w stosunku do wymienionego przeze mnie pierwszego wariantu pieczęci gabinetowej, natomiast co do wariantu drugiego pieczęci gabinetowej to widzimy rozpowszechnione używanie takich pieczęci szczególnie w XIX w. Sądzę, że M. Hlebionek ma ograniczone spojrzenie na sfragistykę, ponieważ koncentruje się na królewskiej, a nie dostrzega w pełni jej różnorodności w innych kancelariach i u różnych osób. Przykłady rozmaitych prywatnych pieczęci gabinetowych dostrzegamy bowiem nie tylko w archiwach państwowych, ale także i w muzeach. W Ossolineum mamy liczne przykłady pieczęci gabinetowych w postaci zarówno odcisków, jak i tłoków, wśród których czasami zadziwiająco piękna bywa też ich forma zewnętrzna.

² W. Fabijański, *Zarys historyczny tworzenia się i kształtowania zbioru sfragistycznego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich i jego stan obecny*, w: *Zbiory pieczęci w Polsce*, red. Z. Piech, W. Strzyżewski, Warszawa 2009, s. 178.

³ Z takim faktem spotkałem się na jednej z wystaw ze sfragistyką ze zbioru Ossolineum, na której luźne odciski pieczęci Wettinów, reprodukowane w moim katalogu i oznaczone jako sekretne, podpisano jako „pieczęcie pokojowe”!

Co do nowego podziału pieczęci, jaki pragnie zastosować M. Hlebionek, wydaje się on przy pierwszym wrażeniu przejrzysty, ale tak nie jest. Podział, jaki w tej chwili stosuję, jest bardziej dokładny. Pieczęć np. gabinetowa, którą M. Hlebionek chce umieścić w grupie (nazwanej przez siebie) pieczęci publicznych, nie jest adekwatna dla takiego podziału, ponieważ pieczęcie gabinetowe, jak już wyżej o nich wspomniałem, mają charakter i publiczny (np. wspomniany wyżej pierwszy wariant), ale też i prywatny, osobisty (patrz drugi wariant). Zgodzę się tutaj jedynie z M. Hlebionkiem, że podziały wśród pieczęci (szczególnie o różnej typologii i mieszanym charakterze) są zjawiskiem rzeczywiście nieraz skomplikowanym i wymagającym szerszych i głębszych studiów.

Jeśli chodzi o odczyt legend napieczętych, to przyznaje tutaj rację M. Hlebionkowi, że nie powiodło się mi przy pieczęci nr 84, mimo konsultacji z prof. S. K. Kuczyńskim. Ta duża trudność spowodowana była próbą jej odczytu w stanie sprzed konserwacji i słabą wyrazistością niektórych szczegółów na skutek podwójnego jej odciśnięcia. Pośpiech na skutek terminu, jaki mi wyznaczono do oddania katalogu do druku, nie pozwolił mi przestudiować jej jeszcze raz.

Odnosnie do zarzutu, że nie wyjaśniłem zasad tworzenia opisu katalogowego, Recenzent jako przykład podaje, że nie wyjaśniam faktu, iż liczba kropek oznacza liczbę liter czytelnych legendy (!). Dziwię się temu zarzutowi, bowiem każdy doświadczony sfragistyk, a za takiego się uważa M. Hlebionek, zna zasady praktykowane od lat w źródłowych wydawnictwach sfragistycznych, gdzie liczba kropek oznacza liczbę nieczytelnych liter, a liczba takich kropek ujęta w nawias kwadratowy oznacza ubytek w legendzie pieczęci z domyślną liczbą liter. Zasady te, które od dawna zostały usankcjonowane w urzędowych polskich przepisach archiwalnych⁴, praktykowane są od lat np. w inwentarzach kartkowych pieczęci opracowywanych w archiwach państwowych w Polsce(!). Stąd też nie jestem zobowiązany na każdym kroku cytować powyższych przepisów.

Myślę też, że w wystarczająco kompletny sposób przedstawiłem legendy napieczęte, resztę załatwiają bardzo dobrze reproduktowane fotografie pieczęci (co zresztą potwierdza sam Recenzent). Trudności, jakich przysparzają wydawnictwom szczegóły w postaci dywizorów (czego doświadczyłem przy wydawaniu moich poprzednich publikacji), spowodowały, że uznałem iż bardzo dobra fotografia załatwia ten problem bez dodatkowych komplikacji.

Uważam także, że charakterystyka pisma legend napieczętych jest wystarczająca. Nie zauważyłem, by w innych wydawnictwach była ona głębsza. W przypadku charakterystyki pisma legend w opisach pieczęci nie można robić tego w komentarzu, jak zaleca M. Hlebionek, dotyczy on bowiem ogólnej oceny zbioru pieczęci, natomiast opis poszczególnych egzemplarzy stanowi autonomiczną cechę źródłowego opisu pieczęci. Uogólnianie tego typu badań pozostawia się więc badaczom, którzy do tych celów będą mogli skorzystać właśnie z takiego wydawnictwa źródłowego. Zapewniam M. Hlebionka, że tutaj nie musiałem się „kusić”, ponieważ robię to prawidłowo i odpowiedzialnie, do czego Recenzenci mego wydawnictwa raczej nie zgłaszali zastrzeżeń.

Recenzent nie może mieć pretensji też do sposobu publikowania opisów pieczęci skoro, jak sam stwierdza w swoich końcowych „Konkluzjach”, nie ma w Polsce nowych zmodernizowanych zasad opisu źródeł sfragistycznych. Wspomniane przeze mnie „Przepisy archiwalne”, których współautorem był prof. S. K. Kuczyński (w dziale dotyczącym opracowania pieczęci), są w tej chwili jedyną prawną wykładnią zalecającą jedyny, jak do tej pory, usystematyzowany sposób ich naukowego opisu. I tutaj moim zdaniem opracowanie nowszych zasad naukowych opisów pieczęci, jako źródeł historycznych, nie powinno być zbyt rewolucyjne tzn. w moim rozumieniu powinno ono wyczerpująco brać pod uwagę również dawne elementy (np. nomenklaturę) uwzględniane we wcześniejszych pracach naukowych, po to by przyszłe nazewnictwo pozwalało kojarzyć je z nomenklaturą wcześniejszą.

M. Hlebionek wytyka mi oczywiste braki w przypadku nieosiągalnej dla mnie w trakcie opracowywania literatury przedmiotu, która wskazywałaby na reprodukcję lub opis pieczęci. W takich

⁴ *Zbiór przepisów archiwalnych wydanych przez Naczelnego Dyrektora Archiwów Państwowych w latach 1952–2000*, wybór i opracowanie Maria Tarakanowska i Ewa Rosowska, Warszawa 2001.

przypadkach starałem się podeprzeć literaturą przybliżającą właściciela pieczęci co, jak uważam, nie jest błędem. Także pośrednie publikacje są w takim przypadku bardzo ważne.

Jeśli chodzi o noty bibliograficzne to z pewnością są konsekwentne i dopracowane, autor nie we wszystkich przypadkach musi cytować konkretne strony. Niektóre prace mające dla mnie charakter źródła, jak i opracowania (np. w przypadku Gamsa), trzeba było zamieścić w tych dwu grupach. W wykazie opracowań rzeczywiście uwzględniłem przede wszystkim literaturę pomocną do opracowania pieczęci.

Odnosnie do „Uwag szczegółowych” recenzji M. Hlebionka to będę ustosunkowywał się do nich w kolejności poszczególnych opisów pieczęci jakie Recenzent wziął pod uwagę.

Ad nr 2. M. Hlebionek chyba zapomniał, bo nie przypuszczam że nie wie, o fakcie dotyczącym Anny Jagiellonki, iż była ona koronowana na „króla” Polski i w 1575 r. pełniła tę „funkcję” uznaną przecież przez szlachtę. Tę rzeczywistość potwierdza fakt na jej urzędowym znaku wiarygodności, jakim jest pieczęć, istnienia korony królewskiej nad tarczą herbową z królewskim godłem herbowym Polski — Orłem, także w koronie. Te symbole wyraźnie potwierdzają uznanie jej królewskich prerogatyw prawnych. M. Gumowski, jeśli znał tę pieczęć, to popełnił błąd nie uwzględniając jej w swojej publikacji wśród pieczęci królewskich. Zresztą Recenzent sam w końcu zaznacza, że Anna Jagiellonka oprócz tej pieczęci dysponowała „dobrze znaną pieczęcią królewską”. Powołując się na te fakty nie wykluczałbym jednak możliwości, że wspomnianej pieczęci Anna Jagiellonka mogła używać jeszcze tuż przed sporządzeniem sobie pieczęci królewskiej, a także równoległe z nią do dokumentów lub listów o mniejszej wadze urzędowej.

Natomiast uważam, że zbyt daleko idące są spekulacje M. Hlebionka dotyczące tejsze pieczęci z następnymi sugestiami, iż jakoby jej „kolejny” odcisk opublikował E. Diehl. Nie trzeba nawet tutaj być znawcą, by stwierdzić, że już sama rekonstrukcja rzekomo błędnie odczytanej legendy nie zgadza się prawie na całej długości prócz ostatniego słowa. Nie sądzę, abym odczytał błędnie tyle słów całej legendy. Uważam natomiast, że pieczęć publikowana przez Diehla, mimo iż nie widziałem jej oryginału, pochodzi z całkiem osobnego tłoka.

Ad nr 3–6, 9. Jeśli chodzi o odciski pieczęci wielkiej koronnej herbowej Jana Kazimierza to tutaj mam zdanie przeciwne do Recenzenta. Obecnie uważam, że niepotrzebnie poszedłem za sugestią zawartą w opisie M Gumowskiego, który herb z Gryfem identyfikuje jako herb Pomorza, moim zdaniem ten herb na wspomnianej pieczęci symbolizuje jednak Inflanty, podobnie zresztą jak na pieczęciach Michała Korybuta Wiśniowieckiego (nr 5 katalogu), Jana III Sobieskiego (nr 6) i Stanisława Augusta Poniatowskiego (nr 9). Tarcze z wizerunkiem Gryfa na nich odpowiadają bowiem wiernie tytułaturze królów polskich na tychże pieczęciach. Oczywiście można by się sprzeczać na temat wizerunków Gryfów przedstawionych na tarczach herbowych tych pieczęci królewskich, gdyby na nich było widoczne szrafowanie tych herbów, niestety zarówno na reprodukcjach w moim katalogu, jak i na reprodukcjach katalogu M. Gumowskiego jest ono niewidoczne. Jedynie na pieczęci Stanisława Augusta Poniatowskiego można z trudem dopatrywać się korony na głowie Gryfa, co sugerowałoby właściwy herb Inflant, o ile byłby widoczny w łapie miecz i pionowe szrafowanie pola. Na tak mikroskopijnej powierzchni godła trudno byłoby umieścić inicjał Zygmunta Augusta i koronę nad nim. Elementy te ładnie i rzetelnie zostały przedstawione w herbarzu Emiliana von Žernickiego–Szeligi⁵. Dla tych pieczęci przywołałem prace znane, ale też te według których łatwiej rozpoznać godła heraldyczne, m. in. dzięki solidnemu leksykonowi Neubeckera i Rentzmanna⁶.

Ad nr 7. Uwaga M. Hlebionka w tym miejscu także nie jest trafna i jest nieuzasadniona, ponieważ pieczęć tę należy łączyć z polskimi pieczęciami królewskimi Augusta II Wettina. Sam fakt używania polskiej tytułatury królewskiej w legendzie jest wyraźnym na to dowodem. A na jakiej podstawie

⁵ E. von Žernicki–Szeliga, *Die Polnischen Stammwappen ihre Geschichte und ihre Sagen von...*, Hamburg 1904, tabl. I kolorowa po stronie tytułowej.

⁶ O. Neubecker, W. Rentzmann, *Wappen–Bilder–Lexikon*, München 1974.

prawnej M. Hlebionek stwierdził, że należała ta pieczęć do saskiego systemu sfragistycznego? Identyfikację godeł w wielkim herbie Wettinów można znaleźć też w wielu innych wydawnictwach.

Ad nr 10. Tutaj nie zgodzę się z M. Hlebionkiem co do określenia rodzaju tej pieczęci Stanisława Augusta Poniatowskiego, nie jest to bowiem pieczęć gabinetowa (nazywana przez Recenzenta też pieczęcią pokojową), ale jest to na pewno rodzaj pieczęci sekretnej. Fakt używania na pieczęci jeszcze nazw Smoleńszczyzny, Czernichowszczyzny i Siewierszczyzny nie dowodzi, by datować tę pieczęć inaczej niż na okres po 1793 r.

Ad nr 11. Przy uwagach dotyczących tej pieczęci zgodzę się z M. Hlebionkiem, że może to być sekretna pieczęć regencyjna Prus Książęcych. Możliwe, że tutaj powinienem był wyjaśnić poszczególne godła i figurę herbu, które wydają się w pierwszym momencie na ogół bardzo znane.

Ad nr 12. Przy adnotacji dotyczącej tej pieczęci mogę przyznać rację M. Hlebionkowi w stwierdzeniu, że pieczęć ta rzeczywiście ma wyraźne cechy sygnetu, ale z pewnością mogła być także użyta w wyjątkowej sytuacji (wyjątek od reguły) związanej z „brakiem dostępu do właściwej pieczęci”. O tego typu faktach wspomniałem wyżej cytując dla przykładu przypadek z pieczęcią sygnetową Joachima Fryderyka, księcia z piastowskiej linii legnicko-brzeskiej. Jeśli chodzi o mój odczyt inskrypcji napieczętej to będę dalej upierał się, że jest on prawidłowy. Jedna z czterech liter, które odczytałem, to z całą pewnością „G” a nie „C”, chociaż tok rozumowania M. Hlebionka jest logiczny.

Ad nr 16. Pieczęć Jana Zamoyskiego, starosty lubelskiego i rostockiego, rzeczywiście opublikował M. Gumowski w „Handbuch ...”⁷ na tablicy LIII pod nr. 572, ale tylko w postaci niezbyt efektownej wciěrki grafitowej. Niestety, gdy opracowywałem pieczęcie papierowe, nie miałem możliwości skorzystać z tej pozycji.

Ad nr 20. Fragment legendy związany z drugim imieniem właściciela pieczęci rzeczywiście powinienem odczytać jako „STE”. Tutaj za bardzo zasugerowałem się kształtami liter napisu otokowego, chociaż liczbę brakujących liter wykropkowałem odpowiednio, czym sam jestem obecnie zaskoczony.

Ad nr 23. W tytulaturze Stanisława Małachowskiego, właściciela tej pieczęci, jednak prawidłowo podałem początkowy rok objęcia starostwa opoczyńskiego — 1686, ale co do końcowej daty jego utrzymania to nie jestem pewien, czy miał on jeszcze jakąś drugą pieczęć, która by podkreślała brak tej tytułatury po roku 1690. Tak więc niezauważony tzw. czeski błąd powstał tylko w początkowej dacie rocznej określającej użycie tej pieczęci, prawdopodobnie powstał on podczas druku.

Ad nr 28. Tutaj M. Hlebionek za bardzo pragnie wytknąć mi jak najwięcej błędów, chociaż sam nie potrafił sprawdzić swoich zarzutów rzetelnie. Pieczęć, którą przede wszystkim raczej opisał, a nie opublikował J. Łosowski na s. 186, ma tam nr 18, a nie nr 12 i, jak dokładniej przyjrzeć się opisowi mojemu i wyżej wspomnianemu, to sigilla te różnią się przede wszystkim rozmiarami. W mojej publikacji pieczęć Wacława Rzewuskiego ma średnicę 52,5 mm (a mierzę dokładnie!), natomiast opisana przez Łosowskiego aż 54 mm. Myślę, że jest to znaczna różnica. Ponadto w legendzie jest też różnica w pisowni i to raczej rzeczownika, ponieważ w publikowanej przeze mnie pieczęci nazwa tytułarna brzmi „PODOLIAE”, gdy u Łosowskiego „PODOLIENSIS”. Te dwie wymienione przeze mnie różnice wyraźnie świadczą, że są to całkowicie inne pieczęcie, pochodzące z osobnych tłoków.

Ad nr 29. Tutaj rzeczywiście źle odczytana legenda pieczęci przed konserwacją spowodowała to zamieszanie. Ten fakt zaznaczyłem zresztą przy rzekomej tytułaturze siedleckiej znakiem zapytania. Ze zrobionych zdjęć, tuż przed wydaniem ich drukiem, których już nie zdążyłem dokładnie prześledzić, teraz legendę też odczytuję inaczej.

Ad nr 30. Jestem sam zdziwiony, że mogłem dopuścić do takiej pomyłki. Sugerując się brakiem zestawu nazwisk biskupów, a szczególnie sufraganów, który u K. Czarnieckiego–Łodzi jest doprowadzony do roku 1855 (a u Gamsa do lat 70. XIX w.), a także faktem, że pieczęć urzędu krakowskiej kurii biskupiej jest tzw. publiczna (o czym świadczy legenda) oraz faktem istniejącej tam mitry ksią-

⁷ M. Gumowski, *Handbuch der polnischen Siegelkunde*, Graz 1966, t. LIII, fot. 572.

zęcej z płaszczem, uznałem iż jest to herb jednego z sufraganów zarządzających kancelarią kurii za pontyfikatu księcia biskupa Jerzego Radziwiłła. Ogólny styl pieczęci, rzeczywiście dziewiętnastowieczny, ogólnie przypominał też jednak (także stylem legendy) niektóre pieczęcie szesnastowieczne. Tutaj przy ocenie złym doradcą był narzucony mi przez wydawcę krótki termin i pośpiech uniemożliwiający zastanowienie i większą dociekliwość.

Ad nr 33. Sądzę, że skrót w legendzie należy odczytać „FR”, szczególnie wyraźna jest tutaj pierwsza litera „F”. Poza tym przyznaję, że zapomniałem w opisie uwzględnić aniołki — trzymacze korony.

Ad nr 34. Opis dokładny herbu Joachima Henryka Przebendowskiego, biskupa łuckiego i brzeskiego, nie był możliwy przed konserwacją w takim stopniu, jak teraz, chociaż i obecnie nie wszystkie szczegóły są możliwe do odczytania. U Czarnieckiego–Łodzi herb tego biskupa jest jednak określony jako „własny”. Za tym określeniem, które podałem w opisie pieczęci biskupa, dalej obstaję, ponieważ nawet jeśli zauważamy tam elementy herbu Kuna, to jednak tarcza tegoż herbu umieszczona jest dodatkowo w polu drugiej tarczy kształtu kolistego, w której, wokół tarczy z herbem Kuna, są jakieś dodatkowe elementy trudne do określenia.

W ten sposób rzeczywiście mógłby to być herb własny biskupa, który można by określić dodatkowo jako „Kuna odmienny”. Biskupi bowiem po otrzymaniu sakry otrzymują też swój indywidualny herb, do którego czasami wprowadzają także swój herb rodowy, o ile taki posiadają. W większości jednak publikacji herb Przebendowskiego bądź Przebendowskich podawany jest jako „własny”!⁸

Ad nr 36. Rzeczywiście w moim opisie brak jest pastorału i miecza wystających spoza tarczy herbowej.

Ad nr 38. Co do pieczęci kapituły kościoła katedralnego św. Wojciecha w Gnieźnie, niestety tego numeru „Roczników Historycznych” z podobną reprodukcją nie mogłem mieć w rękach, ponieważ znacznie wcześniej (w 2005 r.) moja publikacja była oddana wydawcy (konkretnej osobie odpowiedzialnej za sprawy wydawnicze) do druku. Nawiązując do reprodukowanej i opisanej przez Pawła Stróżyka w „Rocznikach” pieczęci muszę stwierdzić zauważone niuanse między odciskiem reprodukowanej pieczęci papierowej z podkładem w mojej publikacji, a odciskiem reprodukowanym (w powiększeniu) przez Autora. Średnica pieczęci w mojej publikacji wynosi 40 mm, u P. Stróżyka 39 mm. Widzę też znaczną różnicę w aureoli świętego oraz w układzie pastorału. Ponadto widoczny jest inny układ twarzy świętego; na mojej reprodukcji widoczny jest układ półprofilem w lewo, u P. Stróżyka raczej „en face”. Być może jest to efekt zniekształceń powierzchni odcisku pieczęci, ale nie jest to pewne. Cieszę się, że ktoś jeszcze opublikował tę pieczęć, przykro tylko, że w związku z długotrwałym procesem wydawniczym mojego katalogu wcześniej ode mnie.

Ad nr 39. Nie sądzą by była to pieczęć barokowa, ma legendę raczej z okresu, który określiłem w opisie. Wiele tego typu pieczęci spotykałem na dokumentach XVI i XVII w.

Ad nr 40, 41, 43. Nie zgadzam się tutaj z Recenzentem. Pola wewnętrzne tych pieczęci traktowane są jak pola tarczy herbowej i mają wyraźne znamiona herbów w postaci chociażby kapelusza z chwostami, których liczba przy niektórych się różni. Fakt, że jest duże podobieństwo w wyobrażeniach przedstawionych na pieczęciach, jeszcze nie świadczy o ich aheraldycznym charakterze, raczej świadczy to o podobieństwie tych instytucji i o tym, że mógł je wykonywać ten sam artysta grawer.

Ad nr 42. Zaskakuje podejrzliwość M. Hlebionka w weryfikacji tej pieczęci, jako przynależnej do diecezji tarnowskiej. Moim zdaniem ta przynależność jest faktem, nawet słabo czytelna w legendzie, której nie rozwiązywałem do końca ze względu na trudności całkowitego zidentyfikowania

⁸ K. Czarniecki–Łódź, *Herbarz polski podług Niesieckiego treściwie ułożony i wypisami z późniejszych autorów, z akt grodzkich Poznańskich, z ksiąg i akt kościelnych oraz z dokumentów familijnych powiększony i wydany przez ...*, Gniezno /1872–1874/; *Polska Encyklopedia Szlachecka w oprac. dra fil. S. J. Starykoń–Kasprzyckiego i ks. Michała Dmowskiego*, Warszawa 1938, t. 10(8), s. 110 n.; *Polski Słownik Biograficzny* pod red. Emanuela Rostworowskiego, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk–Łódź 1984–1985, t. XXVIII, s. 659; P. Pragert, *Herbarz szlachty kaszubskiej*, Gdańsk 2009, t. III, s. 326 (Indeks nazw osobowych).

wszystkich liter. W „Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego...” na s. 148, szp. 2 napisano: „Parafia należy do dyec.[ezji] tarnowskiej, dek.[anatu] pilzneńskiego...”⁹

Ad nr 47. M. Hlebionkowi tutaj tylko się wydaje; te cechy niniejszej pieczęci, które wymienia, wcale nie wskazują na okres późniejszy, podobne pieczęcie spotykałem wielokrotnie na dokumentach XVI w. Obstawę przy mojej dacie i określam ją na przełom XVI/XVII w.

Ad nr 51. Przy opisie wizerunku napieczętnego nie jest konieczna interpretacja sceny skoro jest ona już zaznaczona w nazwie właściciela pieczęci, przecież wyraźnie jest tam wymienione, że kościół jest pod wezwaniem „Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny...”

Ad nr 53, 54. Rzeczywiście na pieczęci nr 53 można dopatrzeć się (choć z trudem) kielicha z hostią.

Ad nr 55. Uważam, że nazwa Ewangelicka Służba Wyznaniowa Konfesji Augsburskiej w Elblągu jest tutaj bardziej adekwatna. M. Hlebionek pragnie koniecznie pozmienić każde moje określenie, które chociaż nie odbiega od głównego sedna rzeczy, to jednak według niego powinno brzmieć inaczej. Ewangelicką służbą wyznaniową może przecież być określana też jakaś ewangelicka rada parafialna. Tak, jak nie wyklucza On, że jest to pieczęć rady parafialnej, tak i ja nie wykluczam, że jest to pieczęć wspomnianej służby ewangelickiej

Ad nr 56. Nie zgadzam się na taką interpretację tej pieczęci. Na pewno pieczęć z taką legendą nie jest pieczęcią osobistą. Najprawdopodobniej jest to pieczęć parafialna, publiczna, urzędowa, oczywiście wykonana zapewne na okres prowadzenia parafii przez konkretnego proboszcza, o czym mogą świadczyć inicjały. Pieczęć prywatna sensu stricto byłaby mniej okazała i byłaby raczej typowym sygnetem.

Ad nr 73. Także co do tej pieczęci nie zgadzam się z interpretacją M. Hlebionka. W opisie przecież nie zaznaczałem, że jest to pieczęć osobista. Można się tutaj zgodzić jedynie ze stwierdzeniem, że pieczęć ta mogła być przekazywana następcom prowincjałom, ale takie typy pieczęci często były traktowane też jako osobiste i często były na nich ryte także imiona. Tutaj zapewne ze względów oszczędnościowych nie wryto imienia, dzięki czemu mogły być stosowane przez następców. W tym przypadku stosował ją w XVIII w. wspomniany Rajmund Hynek.

Ad nr 77. Tę pieczęć ziemi czerskiej M. Gumowski opublikował także w postaci wcierki grafitowej¹⁰. Powód braku w mojej publikacji adnotacji o zaistnieniu jej w wydawnictwie Gumowskiego jest taki sam, jaki podałem wyżej w moim akapicie dla nr. 16.

Ad nr 82. Tutaj zgadzam się z odczytem słowa „ROKV”. Zauważyłem, że z tej fotografii legendę lepiej się odczytuje jak z oryginału.

Ad nr 84. Tutaj, wracając do wyżej opisanego już odczytu legendy, Recenzent ma rację, obecnie sam odczytuję ją inaczej dzięki bardzo dobrej fotografii.

Ad nr 88. Jak już wyżej wspomniałem w sprawie tej pieczęci (patrz s. 6) przyznałem M. Hlebionkowi rację w odniesieniu do jej zaszeregowania, ale, jak wyjaśniłem, włączenie tej pieczęci do polskich nie jest wielkim błędem, ponieważ dotyczy ona urzędu powiatowego funkcjonującego wprawdzie pod zaborem, ale na terytorium Polski.

Ad nry 91–92. Odciski niniejszej pieczęci sekretnej miasta Zgorzelca to rzeczywiście pieczęcie z tłoka piętnastowiecznego. W druku nie zauważyłem pomyłki w opisie pieczęci, w którym miała być uwaga, że pismo w legendzie to typowa minuskuła gotycka XIV w., która, jak widać, funkcjonowała jeszcze też w XV w., i zapewne nowy tłok, który sporządzono i używano już po 1433 r. (po nadaniu nowego herbu miastu Zgorzelec), wykonał artysta–grawer żyjący zapewne na przełomie XIV/XV w., będący przedstawicielem jeszcze dawnej szkoły stosującej styl pisma w formie minuskuły gotyckiej.

⁹ *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, pod red. B. Chlebowskiego i in., Warszawa 1887, t. VIII, s. 148, szp. 2.

¹⁰ M. Gumowski, *Handbuch der polnischen Siepelkunde*, Graz 1966, tabl. LXIX, nr 793.

Zaznaczam, że zdawałem sobie sprawę z faktu, że pieczęć pochodzi z XV w., o czym świadczy podana przeze mnie literatura.

Ad nr 93. Minuskuła gotycka tej pieczęci miasta Elbląga sugeruje jednak, że mogła ona powstać już w XIV w. i przy tym zostaje, chociaż, jak podałem za Vossbergiem, data najwcześniejszego znanego odcisku pochodzi z 1424 r. Moje datowanie pieczęci na wiek XIV uzasadniam stylem gotyckim, a szczególnie legendą wykonaną minuskułą gotycką charakterystyczną dla wieku XIV. Pieczęć tę mógł zapewne wykonać artysta–grawer żyjący na przełomie XIV/XV w.

Ad nry 94–95. Swoje racje dotyczące odcisków tej pieczęci miasta Elbląga opieram także na typie pisma zastosowanego w legendzie, co pozwala mi na sugerowanie pochodzenia jej tłoka jeszcze z XIV w., chociaż znany najwcześniejszy z niego odcisk, jak podaje Vossberg, pochodzi z 1454 r. Jak w przypadku pieczęci opisanej w moim katalogu pod nr. 93 uzasadniam datowanie tej pieczęci podobnie, że gotycki styl, a szczególnie legenda wykonana minuskułą gotycką, przesuwają ją do epoki, dla której była charakterystyczna i której nawyki stylowe podtrzymał zapewne artysta–grawer żyjący na przełomie XIV/XV w.

Ad nr 96. Tutaj także opierając się na typie pisma uznałem, że tę pieczęć można datować na XVI w. Niniejsza pieczęć miasta Elbląga, datowana przez M. Hlebionka (według autorów uznanych przez niego) na XVIII w., podobno wykonana została, według M. Gumowskiego „jak zapiski lokalne mówią w 1717 r.”, ale gdzie są te zapiski, nie pisze. Także tę datę podaje H. Kownatzki. Ale Gumowski na s. 39 swej publikacji „Pieczęcie i herby miast pomorskich” podaje też, że w XVI i XVII w. miasto Elbląg nie sprawiło sobie nowej pieczęci, a nowe odciski pojawiają się dopiero od 1717 r. Dziwne, bo legenda jest renesansowa i jeszcze w języku łacińskim, a więc co najmniej z przełomu XVI i XVII w. Myślę więc, że zasygnalizowany przez Gumowskiego dosyć duży i nieużywany tłok z 1676 r. wykonany w stylu renesansowym i renesansową legendą niemiecką dla uzupełnienia wymagał nieco mniejszego sekretu. Ponieważ, jak sam pisze, dawniejszych pieczęci był nadmiar więc m. in. sekrety z gotycką legendą były używane jeszcze w 1765 r. Całkiem możliwe, że wspomniana pieczęć, którą publikuję, a którą ww. autorzy datują dopiero od 1717 r., mogła powstać jednak wcześniej tak, jak ją zadatowałem, w wieku XVI (podobnie zresztą przyjął O. Hupp)¹¹, ewentualnie na przełomie XVI/XVII w., na co wskazuje styl renesansowy legendy i herbu. Tak, jak tłok z renesansową legendą niemiecką leżał z jakichś względów nieużywany, tak samo mogło być do 1717 r. z pieczęcią, którą publikuję pod numerem 96.

Ad nr 100. Żałuję, że praca M. Adamczewskiego nie dotarła wcześniej do mnie. Teraz, jak widzę, obydwie publikacje bardzo by zyskały. Na ss. 344/345 pod sygn. B212 Jego pracy znajdujący się tam opis odcisku pieczęci miejskiej Jutrosina Nowe Miasto wyraźnie przypomina pieczęć i znajdujący się tam herb, jaki opisałem w mojej publikacji. Nieprecyzyjnie jednak jest odczytana przez Adamczewskiego legenda ze względu na zły stan zachowania tamtej pieczęci, co sam podkreśla, że jego „odczyt ... jest nieuprawnioną spekulacją”. Z mego odczytu legenda i sygły są dokładnie transliterowane i dzięki temu treść jest jasna i prawidłowa. Teraz z fotografii odczytuję także datę roczną nad tarczą herbową: „16–43”, czego nie udało się mi zauważyć wcześniej, być może dlatego, że pieczęć opisywałem przed konserwacją. Na podobieństwo tych odcisków wskazują też przybliżone wymiary podane przez M. Adamczewskiego.

Ad nr 101. Jeśli chodzi o tę pieczęć, to rzeczywiście jej identyfikacja nie jest łatwa. Fakty, które podał Recenzent, rzeczywiście nasuwają duże wątpliwości czy chodzi o Nowy Targ koło Sztumu. Kierując się bliskością celnej kamery elbląskiej i pisownią niemiecką nazwy tej miejscowości („Neumarck”), jaka znajduje się pod pieczęcią w skorowidzu elbląskiej kamery celnej, wydawało się, że może to być tylko ta miejscowość. Jednak wątpliwość, czy należała ona do tego regionu geograficzno–historycznego, pozostaje i sprawa dalej jest nie rozwiązana, nawet przez Recenzenta, który pokusił się wprawdzie

¹¹ O. Hupp, *Die Wappen und Siegel der deutschen Staedtel, Flecken und Doerfer nach amtlichen und archivalisch Quellen*, Frankfurt a/M. 1896–1903, Heft 1, s. 18 szp. 2.

o krytykę, ale jednak, jak widać, sam również nie potrafi rozwiązać tego problemu. Moje poszukiwania również zawodzą. Jedyne, co mnie tutaj zastanawia, to okazałość tej pieczęci, wykonanej starannie, a więc może to być pieczęć miasta, ewentualnie części jakiegoś miasta (jurydyki?), dosyć zamożnego, być może leżącego na terenie dawnego hrabstwa kłodzkiego. Na ten fakt wskazuje tarcza herbowa z ukośnymi pasami wypukłymi i wklęsłymi, na przemian (herbem hrabstwa kłodzkiego). Trzymana w lewej ręce lilia w heraldyce polskiej ma nazwę Oława. Myślę, że są to jakieś wskazówki do rozwiązania tej zagadki sfragistycznej. Zachęcam Recenzenta do poszukiwań.

A co do zaliczania tej pieczęci do polskich to, jak już wspomniałem, skoro tego typu miejscowości obecnie leżą w granicach Polski, muszą być traktowane historycznie i wchodzić w obręb naukowego opracowania jako stadium rozwojowe np. dla obecnej heraldyki czy sfragistyki polskiej.

Ad nr 102. Oczywiście dokładne daty zatwierdzenia tłoka tej pieczęci i jego kopii poznałem dzięki lekturze publikacji A. Chmiela, którą przecież zacytowałem. Moje ogólne sprecyzowanie dotyczące chronologii pieczęci, którą opublikowałem w moim katalogu pod nr. 102, spowodowane było właśnie publikacją A. Chmiela. Wiadomo, że ów krakowski uczyony podał w niej bardzo dokładną datę zatwierdzenia dwu podobnych tłoków pieczętnych, ale różniących się nieco (jak sam zaznaczył) rozmiarami¹². Wymiary pieczęci podane z odcisku znajdującego się w Ossolineum, jak zauważyłem, różnią się nieco od podanych przez A. Chmiela, bowiem gdy średnica większa odcisku pieczęci papierowej znajdującej się w zbiorze ossolińskim podana w moim katalogu wynosi 53,5 mm, to w publikacji Chmiela, rzekomo z tego samego tłoka, wynosi tylko 52 mm, gdy średnica mniejsza tejże pieczęci podana w moim katalogu wynosi 50 mm, to w publikacji Chmiela wynosi ona 49 mm¹³. Drugi tłok sporządzony także nakładem rajcy Krzysztofa Kranza mimo podobieństwa ma jeszcze większe różnice w wymiarach. Te znaczne różnice w wymiarach podane przez A. Chmiela i wymierzone przeze mnie spowodowały, że dla ostrożności nie uściślałem daty tłoka pieczętnego, z którego był ten odcisk, widząc w podanych przez A. Chmiela faktach, że tłoki pieczętnie miasta mogły być przerabiane, a także kopiowane, mimo wszystko w różniących je wymiarach tak, jak tłoki pieczęci sporządzone przez Kranza, które zatwierdzono 20 czerwca 1661 r. Z tych względów podałem więc chronologię ogólną, bowiem nie miałem styczności z dokumentami, które posiadałyby odciski z tychże tłoków, których ścisłą datacją i dokładne wymiary można by ustalić dokładniej i ewentualnie wyeliminować powstałe w tym względzie wątpliwości. W momencie, gdy ukazała się publikacja K. Jelonek–Litewki w wydawnictwie *Zbiory pieczęci*, nie mogłem uwzględnić podanego tam nowszego sprecyzowania tego faktu, ponieważ pozycja moja była już w druku, co zaznaczył sam recenzujący M. Hlebionek. Z dostępnej mi wówczas literatury nic mi nie było wiadome, że zachował się tłok tej pieczęci i że jest on bardziej precyzyjnie datowany od datacji podanej przez takiego znawcę sfragistyki Krakowa, jak A. Chmiel. Moja datacja, choć nieco uogólniona, podaje jednak mimo wszystko właściwy okres pochodzenia pieczęci, chociaż uważam także, że chronologię bez wątplenia należy uściślać¹⁴.

Ad nr 104. Podobna moja uwaga, jak do pieczęci nr 102, odnosi się i do tej pieczęci. Nie mając pomocnej nowszej literatury w postaci publikacji K. Jelonek–Litewki nie mogłem także tutaj ustosunkować się do datowania przez nią i tej pieczęci. M. Hlebionek, jak widać, ustosunkowując się krytycznie przede wszystkim w stosunku do mnie, przychyliła się do datowania tej pieczęci podanego przez ww. autorkę bez żadnego uzasadnienia.

Natomiast ja pozostaję jednak przy swoim datowaniu tj. przy wieku XVIII, na co wskazuje nie tylko typ pisma w legendzie, stylowy kształt tarczy herbowej oraz typ korony utrzymany w relacjach końca tej epoki (stanisławowskiej) i może przełomu XVIII/XIX w., o czym może świadczyć także

¹² A. Chmiel, *Pieczęcie miasta Krakowa, Kazimierza, Kleparza i jurydyk krakowskich do końca XVIII wieku*, Kraków 1909, s. 41 szp. 1.

¹³ Tamże, s. 41 szp. 2.

¹⁴ Zarzucający mi niedokładności M. Hlebionek sam czyni zamieszanie wprowadzając do obiegu naukowego nieistniejącą *Księgę Pamiątkową Prof. J. Bieniaka* zamiast książki *Prace ofiarowane Profesorowi Januszowi Bieniakowi w siedemdziesiątą rocznicę urodzin i czterdziestopięciolecie pracy naukowej*, wydanej oczywiście w Toruniu w 1997 r.

stylizowany Orzeł w bramie formowany już według wchodzącej nowej manieri, nieco w pozie naturalistycznej, naśladującej pozę orłów pruskich, a nawet późniejszego orła napoleońskiego. Chciałbym zobaczyć oryginalny dokument sygnowany tą pieczęcią, o ile taki istnieje.

Ad nr 105. Podobnie i w przypadku tej pieczęci nie mogłem uwzględnić publikacji K. Jelonek–Litewki z wyżej podanych powodów, ale obecnie i tutaj zaznaczam, że nie zgadzam się z datowaniem niniejszej pieczęci przez wspomnianą Autorkę, a przychylam się do datowania, które podaje w swoim wydawnictwie S. K. Kuczyński jako właściwego, a które przecież uwzględniłem w swojej publikacji.

Ad nr 111. W tym przypadku moje ogólne sprecyzowanie datacji pieczęci miasta Podgórze koło Proszowic krakowskich, opierające się podczas opracowywania na jedynej dostępnej mi wówczas literaturze autorstwa F. Bardla, niestety nie uwzględniające wszystkich pozostałych wydawnictw dotyczących zaboru austriackiego, zmusiło mnie do jej przybliżonego datowania. Wprawdzie częściowo nie odbiega ono od faktycznej daty ustanowienia nowego herbu, ale zestawiając wiadomość z tej publikacji o nadaniu herbu w 1808 r. z przypuszczeniem, że został tutaj powtórzony jakiś istniejący już wizerunek (podobne zresztą przypuszczenie ma autor publikacji o obydwu herbach Podgórze J. Banach)¹⁵, zadatowałem ogólnie niniejszą pieczęć na przełom XVIII/XIX w. i pierwszą ćwierć XIX w. Uważam, że ta ogólna datacja sytuuje niniejszą pieczęć we właściwym okresie.

Ad nry 115–117. Jeśli chodzi o pieczęcie Sądu Najwyższego Niemieckiego Prawa Grodu Krakowskiego, to w datowaniu ich, przeciwnie do K. Jelonek–Litewki, będę obstawał za chronologią, którą ustaliłem w mojej publikacji na XVI i na przełom XVI/XVII w. Natomiast wspomniana autorka artykułu w *Zbiorach pieczęci w Polsce* datuje je na XVII i XVIII w., które jest błędne, o czym świadczy opis z literatury zacytowanej przez wyżej wymienioną¹⁶.

Fragment wspomnianego tam opisu potwierdza moje datowanie: „Co się tyczy sądu sześciu miast (uwaga dotyczyła ww. Sądu Prawa Niemieckiego) ... Dopiero w roku 1543 czy 1544 sporządzono dla tego sądu pieczęć osobną. Tej pieczęci używał sąd i w XVII wieku, zdaje się innej późniejszej nie miał”. Opisywana reprodukcja nr 10 w tamtym wydawnictwie odpowiada numerowi 115 publikowanej przeze mnie pieczęci, chociaż trochę różnią się podawane wymiary średnic, ale to z tego względu, że ja podaję średnicę samego rysunku pieczętnego (44 mm), a we wspomnianym wydawnictwie podana jest średnica tłoka (47 mm). W związku z brakiem jakiegokolwiek literatury dotyczącej tej kwestii także tutaj datację musiałem określić ogólnie w oparciu o zewnętrzne elementy artystyczno–stylowe i typ pisma w legendach. Myślę, że również podawane daty powstawania innych tłoków pieczętnych dla sądów tego okręgu terytorialnego, np. wójtów i ławy, świadczą za moim datowaniem wspomnianych tłoków.

Ad nr 125. Pieczęć Sądu Białego w Elblągu, podobnie jak kilka innych, z braku literatury sfragistycznej datowałem także w oparciu o stylizację rysunku napieczętnego i typ pisma legendy. Jak widać nie pomyliłem się w ogólnej chronologii tej pieczęci, której datę „terminus post quem” funkcjonowania określił M. Hlebionek w oparciu o wydaną w 2000 roku „Historię Elbląga”¹⁷. Myślę, że datowanie pieczęci Królewskiego Pruskiego Sądu Białego na wiek XVIII nie jest uchybieniem z mojej strony, ponieważ, jak sam recenzent M. Hlebionek przypomniał, instytucja ta działała po 1773 r. Data ta tylko minimalnie uściśla stosowanie tej pieczęci, nie musiałem więc podawać literatury typu „Historia Elbląga”, która nie precyzuje okresu stosowania tej pieczęci i nie podaje niemieckiej nazwy tej instytucji. W nazwie właściciela tej pieczęci nie musiałem też wyjaśniać, czym zajmował się Sąd Biały.

Ad nr 137. Rzeczywiście M. Gumowski opublikował opis podobnej pieczęci gromadzkiej wsi Dębniaki, jest to jednak — jak sądzę — opis innej pieczęci gromadzkiej tej miejscowości, o czym świadczy znaczna różnica w rozmiarach średnicy między pieczęcią publikowaną przeze mnie (33 mm),

¹⁵ J. Banach, *O dwóch herbach miasta Podgórze*, „Rocznik Krakowski” 1989, nr 55, s. 113–125, tu s. 123.

¹⁶ *Katalog Krajowego Archiwum Aktów Grodzkich i Ziemskich w Krakowie*, wyd. S. Kutrzeba, w: „Teki Grona Konserwatorów Galicji Zachodniej”, Kraków 1909, t. 3, s. 126 tabl. I fig. 10.

¹⁷ *Historia Elbląga*, pod red. A. Groth, Gdańsk 2000, t. III, cz. 1, s. 105.

a pieczęcią opisaną przez Gumowskiego (37 mm); ponadto rybak na reprodukowanej przeze mnie pieczęci trzyma podbierak na ryby (widoczna końcówka siatki poniżej obręczy podbieraka), natomiast na rysunku szkicowym w publikacji Gumowskiego (na s. 59, tablicy herbowej V, nad literą C) rybak trzyma wiosło i nie ma na sobie fartucha sięgającego kolan oraz płaszcz sięgającego jeszcze niżej. Oprócz tego Gumowski nic nie wspomina o dacie rocznej, którą rozdziela sylwetka rybaka, a przecież opisał pieczęć zapewne bardziej wyraźną skoro mógł z niej odczytać całą legendę. Ten fakt braku daty raczej potwierdza jego wątpliwa uwaga, że „P. zdaje się pochodzić jeszcze z XVIII w.”¹⁸. Mając te wątpliwości nie zacytowałem tutaj Gumowskiego. Należy też podkreślić, że przy pieczęci Urzędu Gromadzkiego Wsi Dębniaki koło Krakowa wydobyłem kilka ważnych szczegółów, które różnią wizerunek pieczęci opisanej przeze mnie od wspomnianego, reprodukowanego u Rollego¹⁹. Myślę, że szczegóły uwypuklone w moim opisie znacznie wzbogaciły badanie nad sfragistyką tej miejscowości.

Odnosząc się do „Konkluzji” Recenzenta Hlebionka to proponowane przez niego opisywanie „idealnego” wzorca pieczęci, dla ułatwienia katalogowania jego powielonych odcisków, jest też wyważaniem otwartych drzwi, ponieważ taką metodę stosuje się od dawna, przede wszystkim w archiwach, ale też w muzeach i w wydawnictwach drukowanych.

Ten tak zwany rozbudowany opis pieczęci, jak wynika z relacji M. Hlebionka, ma m. in. zwrócić uwagę na związki pieczęci z dokumentem, a to przecież nie jest konieczne, ponieważ np. archiwalne karty inwentarzowe pieczęci zawierają elementy tzw. rozbudowanego katalogu naukowego pieczęci, który proponuje wyżej wymieniony. W archiwalnych kartach inwentarzowych (czy katalogowych kartach muzealnych, jak np. wzorowanych przeze mnie na wyżej wymienionych w Gabinetie Sfragistycznym Ossolineum) ten związek pieczęci z dokumentem jest zaznaczony w osobnych rubrykach podających sygnatury dokumentów przy których się znajdują odciski danej pieczęci, czy nazwę (też z tytułaturą właściciela pieczęci) często także uzupełnioną z dokumentu (o ile znamy ten dokument czy dokumenty), przy których dany odcisk pieczęci się znajduje. Na takiej karcie są także rubryki, w których wpisuje się sposób wiązania pieczęci z dokumentem, rodzaje materiałów użytych do odcisków, stan ich zachowania.

Ostatecznie wiele tych elementów, które mają przybliżyć związek pieczęci z dokumentem, o jaki chodzi M. Hlebionkowi, można podać dla uzupełnienia w rubryce „UWAGI” i o takie same uwagi można uzupełniać naukowe opisy w katalogach edytorsko drukowanych, nikt przecież tego nie zabrania, trzeba tylko zdecydować się jaki katalog wydajemy.

Pisząc o tych sprawach mam na myśli dawne inwentarze kartkowe w Archiwach Państwowych i katalogi kartkowe w muzeach, w tej chwili przejęte przez systemy komputerowe, których programy nie zawsze ułatwiają stosowanie dawnego formularza, ale, myślę, jest to do naprawienia przy dobrej współpracy archiwistów i muzealników z programistami!

Nie napisał też M. Hlebionek nic nowego postulując publikacje zaopatrzone „w możliwie dużą liczbę ilustracji”. Przecież wiadomo, że idealny katalog drukowany powinien mieć komplet ilustracji, bowiem — jak sądzę — katalog bez ilustracji to nie katalog. Wiadomo jednak, że wszystko zależy od sponsora, który ma na takie publikacje wystarczające środki finansowe.

Natomiast z wieloma końcowymi wnioskami Recenzenta Hlebionka w pełni się zgadzam. Wiele opisów w różnych publikacjach zależy od przyzwyczajęń autorów i w ten sposób nieraz w bardzo ładnych i drogiech wydawnictwach nie zawsze są one idealne, często zaniżają rangę naukową.

Zgadzam się z Recenzentem Hlebionkiem, że takie „drobiazgi” w opisach pieczęci, jak charakterystyka linii między wierszami legendy, linii otokowej pieczęci, czy linii oddzielającej pole wewnętrzne pieczęci od pola legendy, sposób wypełniania tła, są bardzo ważne i do tego zawsze się stosowałem.

¹⁸ M. Gumowski, *Herby i pieczęcie wsi województwa krakowskiego*, „Małopolskie Studia Historyczne” 1961, R. 4, z. 1, s. 22, i s. 59, tabl. V rys C.

¹⁹ K. Rolle, *Kraków — rozszerzenie granic 1909–1915*, Kraków 1931, s. 47.

Także sprawa dywizorów i znaków rozpoczynających inskrypcje uważam, że też jest sprawą bardzo ważną, ale często pracochłonną i czasochłonną, często trudną dla wydawnictwa, o czym sam się przekonałem, chociaż przy niektórych wydawnictwach się to udawało. Idealne by było odwzorowywanie kształtów liter legend, ale, jak dotąd, mimo wysokiej techniki, nikt nie wymyślił jakim prostym i niekosztownym systemem można by wprowadzić je do opisów pieczęci.

Reasumując ogólnie ocenę mojej publikacji *Pieczęcie papierowe z podkładem w zbiorze sfragistycznym Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu* dokonaną przez dra M. Hlebionka, w wielu miejscach nie mogę jej nazwać recenzją w pełni merytoryczną, ponieważ jej autor czasami wypacza niektóre moje sformułowania tłumacząc je przewrotnie czytelnikowi. Wyżej wymieniony w swoich uwagach odnosi się na ogół do drobiazgów niemających istotnego znaczenia, wyolbrzymiając je jednak dla większego wrażenia. W niektórych miejscach M. Hlebionek jest nieprecyzyjny: cytuje literaturę, w której nie ma sugerowanych przez niego twierdzeń. W wielu miejscach Recenzent powtarza w różnych częściach tekstu recenzji niektóre zarzuty, by stworzyć wrażenie dużej ich liczby.

Oczywiście do konkretnych zarzutów nie mam zastrzeżeń i, jak widać, nie ma ich wiele, bowiem, jak każdemu autorowi zależało mi, aby taka pozycja reprezentowała rzetelność naukową. Zdarzyły się błędy, które jednak nie zdeprecjonowały tego wydawnictwa do tego stopnia, by nie mogło ono być poważną pomocą dla badaczy. Wiele błędów można wskazać u znanych nawet doświadczonych badaczy sfragistyki, a mimo to ich publikacje dalej są przydatne, bo tak naprawdę nie ma dzieła idealnego i takiego, które by się nie deaktualizowało.

Na zakończenie tej odpowiedzi M. Hlebionkowi mogę tylko powiedzieć, że praca moja mimo trudności, jakie napotykałem przy wydawaniu tej publikacji, będzie z pewnością służyć z pożytkiem wielu badaczom, podobnie jak liczne prace tego typu wielu innych sfragistyków, którzy także nie ustrzegli się nawet poważnych błędów. Praca moja będzie zapewne, mimo wszystko, jednym z tych stopni, który przyczyni się do doskonalenia tej dziedziny nauk pomocniczych historii.

Jako autor czuję się odpowiedzialny za mankamenty mojej pracy, lecz mimo wszystko mam żal do niektórych osób powołanych do nadzoru redakcyjnego. Przez jego niedostatek ucierpiała nieco, jak widać, publikacja.

Natomiast jeszcze raz dziękuje tym, którzy wspomogli mnie w trudniejszych sytuacjach. Dziękuję też za uwagi Recenzenta, które dopomogły w naukowym wyjaśnieniu niektórych problemów.

Edward SKIBIŃSKI
Instytut Historii
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza
Poznań

Sztuka recenzji a metodyka historyczna. Uwagi na marginesie artykułu recenzyjnego Eduarda Mühle, *Exul apud vos et peregrinus. Najnowsze badania nad tzw. Gallem Anonimem*, St. Źródł., 50, 2012, s. 89–98

Truizmem jest stwierdzenie, że pisanie recenzji naukowej wymaga kompetencji w zakresie tematyki recenzowanej pracy. Warunkiem wstępnym dla przeprowadzenia oceny pracy naukowej jest także zapoznanie się z zamierzeniami autora wyłożonymi w jego pracy, stosowaną przez niego metodą badawczą oraz literaturą przedmiotu — właściwą dla omawianego w recenzowanej pracy zagadnienia. Warto zauważyć, że koniecznie należy zachować wskazaną wyżej kolejność, gdyż analiza literatury przedmiotu bez zrozumienia zamierzeń autora mija się z celem i prowadzi do klęski recenzenta. Trudno bowiem dyskutować z recenzentem, który nie rozumie intencji autora recenzowanego tekstu, ponieważ nie zapoznał się z przedstawioną w nim argumentacją. Można jednak złożyć wyjaśnienia dla potrzeb Czytelników recenzji. Odrzucając argumenty omawianej pracy, powinno się zwykle taką decyzję jasno uzasadnić wskazaniem błędów jej autora, które uniemożliwiły mu realizację stawianych celów. Tymczasem w recenzji Eduarda Mühle tego zabrakło. Autor zamierzył w swoim tekście dać krytyczny przegląd ostatnich badań nad Gallem.

Żeby ocenić technikę analityczną E. Mühle, zastosowaną przez niego w omówieniu prac poświęconych kronice Galla, warto zwrócić uwagę na kryteria stosowane przez Autora i miary jakie zastosował do ocenianych przez siebie prac. Twierdzi on, że „jedną z podstawowych polskich monografii biorących na warsztat *Cronicae et gesta*” (kronikę Galla) jest książka Przemysława Wiszewskiego „*Domus Bolesłai*”¹. Obok tej pracy wymienia „fundamentalne, zorientowane mocno dekonstruktywistycznie i teoretycznie studium Jacka Banaszkiwicza *Podanie o Piaście i Popielu*”². Wynika stąd, że mamy w opinii Recenzenta dwa bieguny — z jednej strony podstawową monografię, z drugiej pracę mocno dekonstruktywistyczną i teoretyczną.

Zacznijmy od pierwszej książki. Naturalnie praca P. Wiszewskiego jest obszernym studium, w którym autor zebrał analizy najstarszych źródeł do naszych dziejów, trudno jednak ją uznać za jedną z podstawowych polskich monografii na temat kroniki Anonima, już choćby dlatego, że argumentacja autora nie została przyjęta w środowisku badaczy tej kroniki. Wymaga też odrębnej, szerszej analizy ze wskazaniem słabszych miejsc i błędów, nie tylko zresztą w zakresie dotyczącym Gallowej kroniki. Takiej analizy jednak jeszcze nie przeprowadzono. Zatem wniosek E. Mühlego jest,

¹ P. Wiszewski, *Domus Bolesłai: w poszukiwaniu tradycji dynastycznej Piastów (do około 1138 r.)*, Wrocław 2008.

² J. Banaszkiwicz, *Podanie o Piaście i Popielu: studium porównawcze nad wczesnośredniowiecznymi tradycjami dynastycznymi*, Warszawa 1986.

jak dotąd, nie uzasadniony. Z drugiej strony, określenie pracy J. Banaszkiwicza jako mocno dekonstruktywistycznej i teoretycznej jest nie do zaakceptowania. Użycie przymiotnika dekonstruktywistyczny dla oceny dorobku J. Banaszkiwicza — dorobku znanego i komentowanego już kilkadziesiąt lat, musi budzić zaskoczenie. Nie tylko zresztą na gruncie języka polskiego, w którym praca została napisana, przymiotnik ten zdaje się mieć znaczenie, które z analizami tego uczonego zdają się nie mieć nic wspólnego. J. Banaszkiwicz nigdy, o ile mi wiadomo, nie odwoływał się w swoich pracach do twórcy pojęcia dekonstrukcji Jacques'a Derridy i jego koncepcji. Przeciwnie w swoich badaniach naukowych bliższy jest analizom strukturalnym. Strukturalistą był też Georges Dumézil, którego idee oddziaływały na prace J. Banaszkiwicza. Technika Derridy, o której i u nas napisano książki, nie nadaje się do analiz, którymi zajmuje się J. Banaszkiwicz już choćby ze względu na fragmentaryczny charakter zachowanych źródeł. W przeciwieństwie do prac J. Banaszkiwicza, termin dekonstrukcja pojawia się np. u P. Wiszewskiego: „gdy jednak mamy do czynienia wyłącznie z narracją i intuicją badacza dokonującego jej dekonstrukcji, polegać musimy wyłącznie na jego wycuciu”³. Historyk zatem, wedle P. Wiszewskiego, dokonuje dekonstrukcji narracji (źródła?) i być może coś takiego ma na myśli E. Mühle. Jednak jeśli tak, to każdy historyk *ex definitione* musi być dekonstruktywistą, skoro obowiązuje go praca ze źródłami. Można by też przypuścić, że chodzi tu o dekonstruktywizm w historii w rodzaju koncepcji Alana Munsłowa⁴. Gdyby tak było, wypadaloby to jednak szerzej wyjaśnić. Temat jest interesujący i zamierzam go również podjąć w dalszej pracy.

Zaznaczyć też wypada, że nie da się analiz J. Banaszkiwicza, który cały czas pracuje na tekstach, uznać za „studium teoretyczne”. Pisząc w ten sposób, pragnę podkreślić, że nie oznacza to, że moje poglądy są zgodne z poglądami tego wybitnego mediewisty. Moje uwagi mają jednak znaczenie dla oceny dalszych wniosków E. Mühle. Jak bowiem widać z przytoczonej wyżej argumentacji, analityczną miarą przy ocenie prac dotyczących kroniki Galla jest tu książka P. Wiszewskiego, a nie J. Banaszkiwicza, choć Recenzent nie dał jasnego objaśnienia swojego stanowiska.

Pierwszym i zarazem w pewien sposób podstawowym zagadnieniem dla Recenzenta w studiach nad Gallem jest koncepcja uzasadniana w ostatnich pracach Tomasza Jasińskiego o tożsamości tzw. mnicha z Lido z autorem naszej kroniki tj. z Anonimem Gallem⁵. Koncepcja ta, dyskutowana już kilkakrotnie w rozmaitych recenzjach, zdaje się być *crux interpretum* recenzentów. Jest też przyczyną całego zła. Polemiki toczone wokół koncepcji T. Jasińskiego, zdają się budować obozy i podziały na „złych” i „dobrych”. Widać to już na poziomie jej krytycznych ujęć. Trudno bowiem znaleźć recenzję, w której teza ta zostałaby w sposób poprawny omówiona, poza znanym artykułem Gerarda Labudy⁶. Tekst ten został zresztą skrytykowany przez E. Mühle bez głębszej analizy. Nie wystarczy powoływanie się na argumentację Daniela Bagi, zawartą w dodatku do jego książki⁷, gdyż badacz ten nie odniósł się do podstawowego w tej sprawie problemu prozy rytmizowanej. Przyznać natomiast należy, że inne argumenty T. Jasińskiego poddaje D. Bagi dość obszernej analizie, za którą krok w krok postępują inni krytycy koncepcji poznańskiego mediewisty, nie wnosząc niestety wiele nowego.

Polscy recenzenci, a ich tropem idzie również E. Mühle, zaczynają analizować koncepcję T. Jasińskiego od dowolnego punktu, nie odnosząc się w ogóle do przeprowadzonych pod jego kierunkiem badań statystycznych. Może nawet widzą jakieś słabe miejsca w analizach T. Jasińskiego, ale niestety nie potrafią ich wyartykułować. Właściwa dyskusja z koncepcją wenecką musi zacząć się od tego miejsca, na którym E. Mühle kończy jej omawianie, tj. od analizy językowej. Jest ona przy tym trud-

³ P. Wiszewski, *O istocie władzy króla*, w: *Królowie i biskupi w średniowieczu*, red. M. Brzostowicz, M. Przybył, J. Wrzeński, Poznań — Łąd 2012, s. 49–62, tu: s. 53.

⁴ A. Munsłow, *Deconstructing history*, Abington Oxon 1997–2006

⁵ T. Jasiński, *O pochodzeniu Galla Anonima*, Kraków 2008; tenże, *Kronika Polska Galla Anonima w świetle unikatowej analizy komputerowej nowej generacji*, Poznań 2011.

⁶ G. Labuda, *Zamiana Galla–Anonima, autora pierwszej Kroniki dziejów Polski, na Anonima–Wenecjanina*, St. Źródł., 44, 2006, s. 117–125.

⁷ D. Bagi, *Królowie węgierscy w Kronice Galla Anonima*, Kraków 2008.

niejsza niż wyprowadzanie bezzasadnych wniosków na temat pochodzenia Galla, bez żadnej podstawy w źródłach. Praktyka taka przy braku źródeł historycznych nie może dziwić, jednak trudno ją uznać za coś więcej niż zgadywanie. Tym charakteryzują się np. koncepcje Johanna Frieda, w których utożsamia on Galla z Ottonem z Bambergu⁸. Podobnie nie poparte źródłami, są również koncepcje zaproponowane w książce Jarosława Wenty⁹. Propozycje obu wspomnianych autorów różnią się jednak większą akrybią tego pierwszego, który, prezentując nie poparte materiałem źródłowym interpretacje, potrafi jednak wzbogacić naszą wiedzę o interesujące spostrzeżenia dotyczące Galla. Jego interpretacja, choć nie poparta materiałem źródłowym, nie jest jednak sprzeczna z tekstem kroniki Anonima.

Inaczej ma się sprawa z pracą J. Wenty — uczonego, który dyskusję nad Gallem zna, ponieważ jest ona elementem naszego wykształcenia mediewistycznego. W ocenie książki Wenty E. Mühle zawodzi jednak zmysł krytyczny, nie dostrzega w niej bowiem zupełnie banalnych nieporozumień. Nie analizuje zatem podstaw koncepcji tego autora opartej na analizie kroniki Galla, którą w końcu łatwo zweryfikować. Podobnie, pisząc o dalszej części rozważań J. Wenty, prezentuje zadziwiające wnioski: „z faktu, że władców piastowskich napotykamy w księgach brackich i nekrologach tych czy innych klasztorów, wynika równie mało konkretnych związków z anonimowym autorem *Cronicae et gesta*, jak z okoliczności, że z owych klasztorów rekrutował się w dużej części personel piastowskich kancelarii, kapeli dworskich i klasztorów” (s. 94). W tym krótkim fragmencie mamy właściwie same nieporozumienia. Gdyby, jak pisze Recenzent, udało się ustalić skład „piastowskich kancelarii, kapeli dworskich i klasztorów”, miałyby to oczywiście ogromne znaczenie zarówno dla rozumienia tekstu kroniki Galla i wyjaśnienia jego stanowiska na dworze Krzywoustego, jak i innych problemów naszych najstarszych dziejów. Niewątpliwie jest to ważny kierunek dla badań nad naszym piśmiennictwem. Tego rodzaju analizy musi jednak wspierać staranna lektura tekstu Galla, która zawodzi zarówno u Recenzenta, jak i w omawianej przez Niego książce.

Można też odnieść wrażenie, że Recenzent nie jest zwolennikiem posługiwania się komputerem w analizie tekstów historycznych. Pisze on: „w końcu zaś Wenta, podobnie jak Jasiński, całkowicie ulega fascynacji wyszukiwarkami i elektronicznymi korpusami tekstów, dając w drugim rozdziale drugiej części swojej książki wyczerpującą listę „podobieństw”, zidentyfikowanych za pośrednictwem komputerowych baz danych. I tutaj można postawić pytanie, jakie nowe perspektywy otwierają się właściwie dzięki „podobieństwom” wykrytym za pomocą elektronicznego porównania” (s. 95). Tak sformułowane pytanie wskazuje na całkowitą niewiedzę Recenzenta nawet w zakresie edycji tekstów źródłowych. Dowolny tom *Momumenta Germaniae Historica* daje odpowiedź na to pytanie. Badacze, starając się usytuować wydawany tekst w kontekście tradycji pisarskich średniowiecza, szukali śladów erudycji autorów średniowiecznych obecnych w ich tekstach. Tak polskie, jak niemieckie wydania tekstów autorów średniowiecznych zawierają próby identyfikacji zapożyczeń z innych dzieł w wydawanych źródłach. Technika przeszukiwania wielkiej liczby tekstów przy pomocy metod cyfrowych otwiera tu nowe możliwości, nie kontestowane ani przez badaczy posługujących się tradycyjną metodą badań, ani przez nowatorów. Możliwości te są jednak znacznie większe — i tu dobrym przykładem są prace T. Jasińskiego. Jest to właściwy kierunek, stosowany już szeroko w badaniach nad literaturą starożytną jeszcze przed wprowadzeniem komputerów. Ustalanie autorstwa było jedną z przyczyn podejmowania tego rodzaju badań. Za pomysłodawcę idei stylometrii uchodzi Lorenzo de Valla, który posłużył się taką argumentacją w sławnej krytyce donacji Konstantyna¹⁰. Badania

⁸ J. Fried, *Kam der Gallus Anonymus aus Bamberg*, „Deutsches Archiv für Erforschung des Mittelalters”, 65, 2009, 2, s. 497–545; tenże, *Czy Gall Anonim pochodził z Bambergu?*, *Przeegl. Hist.* 101, 2010, z. 3, s. 483–502.

⁹ J. Wenta, *Kronika tzw. Galla. Historyczne (monastyczne i genealogiczne) oraz geograficzne konteksty powstania*, Toruń 2011.

¹⁰ H. Love, *Attributing authorship*, s. 18 n.; F. Frontini, G. Lynch and C. Vogel, *Revisiting the 'Donation of Constantine'*, w: *Proceedings of AISB [Artificial Intelligence and the Simulation of Behaviour]*, 2008, 7, Aberdeen, Scotland, eds. R. Kibble and S. Raichas, 2008, s. 1–9, <<http://hdl.handle.net/sci-hub.org/2262/32186>> [dostęp: 11.05.2013]. Oczywiście pierwszeństwo Valli należy traktować czysto umownie.

późniejsze przyniosły wzrost zastosowania metod matematycznych¹¹. Jednym z twórców tych idei jest też polski uczyony Wincenty Lutosławski¹². To nie znaczy, że jest to metoda nieolmylna — takich nie ma. Jednak polemika z wynikami tego rodzaju badań wymaga czegoś więcej niż prostej negacji.

O pracy J. Wenty piszę w odrębnej recenzji¹³. Tu ograniczę się do jednej tylko uwagi, dotyczącej głównej tezy tego badacza. Przypisywana Gallowi sympatia do Bawarii wyraża się tekstowo dwukrotnym użyciem nazwy tej zacnej krainy w kronice, co łatwo sprawdzić zaglądając do indeksu wydania Karola Maleczyńskiego. W jakim kontekście używa jej Gall, zostawiam dociekliwości czytelników, ciekawych zaś odsyłam do mojej recenzji. Nie da się zasadniczej argumentacji J. Wenty utrzymać na podstawie zaprezentowanego w jego książce rozumowania. E. Mühle nie przeanalizował jednak nawet podstaw koncepcji J. Wenty i w efekcie dał omawianej pracy taką ocenę: „z drugiej strony wszakże wszystkim trzem tezom poczytać trzeba za wielką zasługę, że swoją śmiałą argumentacją trwale ożywiły dyskusję wokół osoby anonimowego autora *Cronicae et gesta* (s. 95)”. Wygłaszając taką opinię nie dał jednak Recenzent nigdzie próby analizy stanowiska J. Wenty, oferując jedynie w zamian impresje z lektury. Niektóre wywody Weny są zatem „niezbyt zaskakujące”, inne zaś „choć zajmujące i intrygujące — są jednak trudne do prześledzenia”. Uwagi te bardziej pasują do recenzji powieści sensacyjnej niż pracy naukowej.

Pozytywnej, mimo wszystko, ocenie książki J. Wenty odpowiada negatywna ocena pracy mojego autorstwa (*Przemiany władzy. Narracyjna koncepcja Anonima tzw. Galla i jej podstawy*, Poznań 2009). Część argumentów użytych przez E. Mühle spotkałem już w recenzji P. Wiszewskiego i odpowiadam na nie w najnowszym numerze „Kwartalnika Historycznego”. Dwa podstawowe zarzuty warte są jednak osobnej uwagi. Oto więc, wedle opinii Recenzenta, powinienem przyjmować wyjściowe założenie, że kronika Galla nie jest panegirykiem i w bezkrytyczny sposób akceptować koncepcję T. Jasińskiego. Ponieważ E. Mühle powtarza opinię P. Wiszewskiego, którą już raz omówiłem, odpowiadam więc krótko. Nie jest tezą wyjściową mojej pracy przyjęcie założenia, że kronika Galla nie jest panegirykiem. W swojej pracy wspominam o tej sprawie tylko dwa razy, na marginesie innych rozważań. Wynika to być może z mojej nadgorliwości, gdyż nie wymagał tego temat mojej pracy. Nie zajmuję się w swojej książce retoryką kroniki Galla, nie było więc moim zamiarem orzekać, czy kronika to panegiryk, czy też nie. Staralem się to niedopatrzenie naprawić we wspomnianej wyżej odpowiedzi na recenzję P. Wiszewskiego (myślałem, że jest to sprawa oczywista, dlatego nie napisałem wcześniej na ten temat artykułu). Z tezami T. Jasińskiego nie dyskutuję w swojej książce, bo nie zajmuję się językiem kroniki, ani pochodzeniem Galla, lecz jego narracją. Podałem informację o koncepcji T. Jasińskiego w swojej książce, bo wymaga tego klasyczne już założenie naukowe, że, podejmując dane zagadnienie, należy zreferować *status causae*, nie dyskutując jednak ze wszystkim, lecz podając stan badań uzupełniający własną, węższą argumentację. Prezentując aktualny stan badań, pozwoliłem sobie na jego ocenę, którą podtrzymuję. Nikt dotąd też T. Jasińskiego nie podważył. Rozumiem, że w opinii niektórych badaczy ranga mojej pracy, która się tym nie zajmuje, automatycznie niejako spada.

Uwagi E. Mühle o izolacji mojej pracy od literatury przedmiotu powinny być poprzedzone analizą literatury przeze mnie cytowanej i wskazaniem braków w zakresie, jaki wyznaczyłem tematem pracy. Może wyjaśniłoby to wiele nieporozumień. Łatwo się przekonać, że posługuję się innymi koncepcjami teoretycznymi niż np. P. Wiszewski. Niechęć do mojej pracy tłumaczy być może błędne posłużenie się określeniem „dekonstruktywistyczny” w stosunku do książki J. Banaszkiewiczza. Dekonstrukty-

¹¹ Ogólnie na ten temat Ch. Delcourt, *Stylometry*, „Revue belge de philologie et d'histoire”, 80, fasc. 3, 2002, *Langues et littératures modernes — Moderne taal en litterkunde*, s. 979–1002. Ogólnie o stosowaniu statystyki w językoznawstwie informuje podręcznik R. Hammerl, J. Sambor, *Statystyka dla językoznawców*, Warszawa 1990.

¹² W. Lutosławski, *The Origins and growth of Plato's logic with an account of Plato's style and of the chronology of his writings*, London 1897, teoria stylometrii s. 140–193.

¹³ E. Skibiński, *Uwagi o polemikach. Na marginesie dyskusji nad pochodzeniem Anonima Galla*, „Studia Europaea Gne-snensia”, 6, 2012, s. 477–487.

wizm jest tam zestawiony z teorią — jak rozumiem, jako dwie wady ujęcia tematu przez tego autora. Pomyłka E. Mühle świadczy o tym, że Recenzent na tego rodzaju badaniach się po prostu nie zna.

Ocena prac na temat tekstu średniowiecznego wymaga odniesienia też autora nie do takich czy innych kierunków w nauce, lecz do źródeł, na których się opiera. Pozornie najśluszniesze opinie mogą się wtedy okazać bezpodstawne, bo sprzeczne z materiałem źródłowym. Wnioski nieumotywowane źródłowo w ogólnym bilansie badań muszą prędzej czy później stracić swoje znaczenie. Być może jednak ich autorzy w dalszej dyskusji dostarczą lepszych argumentów i ich intuicja okaże się słuszna. Dlatego zamiast wystawiania ocen potrzebna jest rzeczowa dyskusja z odwołaniem się do właściwej metodyki badań historycznych. A więc najpierw *ad fontes*. Drugi problem, który wprowadza wiele zamieszania, to badania narracji historycznych. Proste odnoszenie opowiadania kronikarza do zdarzeń historycznych budziło już wątpliwości dawnych historyków. Z drugiej strony, potraktowanie narracji jako pisarskiego wymysłu autora w rodzaju opowieści z Narni Clive'a S. Lewisa jest grzechem prezentyzmu — zapożyczania kategorii wypracowanych w literaturze naszej epoki. Tematem właściwym toczącej się dyskusji jest odpowiedź na pytanie, jak należy badać kroniki. Pierwszym problemem jest wyznaczenie właściwego kontekstu porównawczego. Jak daleko można pójść w tym kierunku? Kiedy porównania stają się za szerokie? Nie ma tu prostej odpowiedzi i oczywistych rozwiązań. Innym problemem jest wyznaczenie przedmiotu porównania — czy ma to być prosty motyw, czy bardziej złożona fabuła. Kolejnym problemem jest wpisanie tych narracji w piśmiennictwo uczone ważne dla epoki i obszaru, na którym powstał badany tekst. Tego rodzaju badania porównawcze są jeszcze w powijakach, a analogie niemieckie niewiele nam tu jak dotąd dają. Wynika to z różnic kulturowych. Czasy powstania kroniki Galla dzieli od chrztu Mieszka i początków kultury łacińskiej w Polsce ok. 150 lat. W X w. Hroswitha pisała już swoje komedie. Zmarła po 973 r. Można policzyć, kiedy napisano u nas pierwsze łacińskie komedie. Znacznie więcej mogą przynieść badania porównawcze w tym zakresie w ramach trzech kręgów kulturowych — Czech, Rusi i Skandynawii. Trzeba powiedzieć, że badania te, nawet w przypadku badań porównawczych łacińskiego piśmiennictwa Czech, dopiero raczkują.